



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie:
rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35,
Wieniec wraz z dodatkiem Encyklopedyi Powszechnej w 8-miu tomach
rocznie Rs. 9 kop. 40, kwartalnie: rs. 2 kop. 35.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, kwartalnie rs. 2, wraz z dodatkiem Encyklopedyi
rocznie rsr. 13, kwartalnie rsr. 3 kop. 25.

Wydawca HIPOLIT ORGELBRAND.

Ekspedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austriackim: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego
kwartalnie: flor. 3 cent. 25; wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart-
talnie florenów 5 cent. 5.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł taniach pożytecznych, kwartalnie
flor. 3, wraz z dodatkiem Encyklopedyi flor. 4 cent. 80.
W W. Ks. Poznańskim: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½,
wraz z dodatkiem Encyklopedyi kwart. tal. pr. 2 sgr. 22½.

RAMULTOWIE.

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Ciąg dalszy. (ob. Nr. 99).

XIV.

No powozu towarzyszył jej Herman, była ponura i milcząca. Ci którzy nagotowali byli bukiety, musieli z nimi powrócić do domu... Lelia napróżno oczekiwała przy wyjściu na brata... i zmartwiona tym że się jej nie pokazał, sama wsiadła do powozu... Sylwan w istocie poszedł się dowiedzieć za kulisy o Violę. Dyrektor którego spotkał łamał ręce i zdawał się w prawdziwej rozpacz. Wystaw sobie pan... ta nie szczęśliwa, niewiem z jakiego powodu... boć jej przecież tak źle nie jest, a byłoby bardzo dobrze gdyby tylko... Zdaje się że wzięła ogromną dawkę opium i chciała się nią otruć... lekarz ledwie pośpieszył w czas... aby ją ocalić... niebezpieczeństwa niema, lecz musieliśmy ją natychmiast odebrać do domu...

Nie namyślając się Sylwan chwycił także powóz przed teatrem i kazał się wieźć do mieszkania Violi... Zastał oboje państwa Pawłów w rozpaczach tracących głowy... lekarza który z zimną krwią i przytomnością rozporządzał co czynić a Violę na łóżku w tych jeszcze sukniach które Julicie do grobu służyły jakby szukającą niepokojnie oczyma wkoło siebie... kogoś spodziewanego... Resztki zażytego opium znać marze-

niami sennemi mózg jej uciskały, mówiła jakby obłąkana... coś czego nikt zrozumieć nie mógł. Na widok Sylwana, podniosła się na łóżku, wyciągnęła ręce i krzyknawszy.—Mój Romeol! padła osłabiona na poduszki...

Lekarz stał zamysłony... szydersko się uśmiechając...

Viola chwyciła rękę przybyłego spazmatycznie usiłując zatrzymać przy sobie. Nastąpiła chwila milczenia...

— Niema niebezpieczeństwa? spytał Sylwan po cichu...

— Już go niema, ale gdyby nie wypadek który flaszeczką niedopitego laudanum dał wskazówkę... piękna Julia usnęłaby w grobowcu Capuletów na zawsze... rzekł lekarz ciszniej jeszcze. Teraz, potrzeba wypoczynku dla ciała i ducha, bezemnie tu się obejdzicie... pan (dodał ironicznie) pozostań... Stara jejmość niech daje lekarstwo...

Viola z głową zwróconą ku Sylwanowi, trzymając jego rękę... wpatrywała się w niego niepokojnie... w czasie tej szeptanej rozmowy...

— Kochany konsyliarzu — odezwał się Sylwan... niepotrzebuję ci przypominać że tajemnice łoża chorych są święte... a to czego masz prawo się domyslać... pozorem jest, nie prawdą. Skłonił się młody doktor wychodząc na palcach... Sylwan musiał zostać... Viola zdawała się z trwogą oczekiwać na zasłużony surowy wyrok sędziego...

— Nie pogardzaj mną, rzekła cicho—nie potępij mnie biednej. Ty niewiesz ilem przecierpiała w życiu. Sam Pan Bóg mi to był przebaczył! Dziś umrzeć czy jutro... czyż nie jedno, gdy nie się niema do czynienia w życiu, gdy sobie jest człowiek ciężarem, a drugim obojętnym. Życ mi tak ciężko...

— To są wyrazy dziecięcy słabiej — odparł Sylwan... ale dziś nie czas na wymówki... trzeba spocząć dziękując Bogu że życie ocalił. Nikt nie zna swęj przyszłości a każdy na świecie jest

potrzebnym, nikt nie ma prawa targnąć się na życie które jego własnością nie jest...

Viola milczała płacząc schylona ku poduszce. — Tak! to prawda—ale są takie życia! takie życia są ciężkie i bez kropelki pociechy... Co by to komu było szkodziło, gdybym sobie zasnęła tak na wieki...

— Al! jaki pan jesteś dobry że jeden tylko—niezważając na nie—przyszedłeś do mnie. To było ostatnie pragnienie gdy mi się zdawało że na wieki usnę, aby ziębna ręka Julietty jeszcze twoją dłoń uczuła.

— Już o tym nie mówmy—rzekł Sylwan potrzeba spocząć... i trzeba się poprawić...

Viola westchnęła... Sylwan wyrwać chciał zwolna dłoń z jej rąk, ale go niepuszczała.

— Chwilkę jeszcze—rzekła cicho. Któż to wie, ja może umrę... a może jutro widzieć mnie nie zecheesz... Jeszcze chwilkę...

Sylwanowi wyraz tęskny jej głosu wycisnął pół łzy z powieki... W téjże chwili około domu na wschodach usłyszano szmer głuchy, potem... stłumioną mowę i podnoszący się coraz głos Szerszenia, który zdawał się bronić przystępu... Pawłowa niespokojna poszła się dowiedzieć co by to było... Kilkudziesięciu młodzieży i najzapaleńszych admiratorów Violi, dowiedziawszy się o tragicznym wypadku, przypadli aż pod dom pytać o jej zdrowie. Niesiono stosy bukietów: które Pawłowa zabrać musiała... Na czele obiegających był Herman, który choć tego nie pokazał po sobie w czasie przedstawienia, mocno był przejęty grą artystki... a przerażony wiadomością, która już po kurytarzach obiegala... Odprawiwszy od powozu panie, pobiegł prawie mimowolnie do mieszkania Violi... Tu wszelkimi możliwymi środkami chciał przekupić cerbera Pawła, który rozkrzyżowawszy się we drzwiach przysięgał na mistrza, iż nikogo wewnątrz nie wpusci.

Głos Hermana poznawszy brat, wstrzymał się,

aby z nim i z innymi nie spotkać... Viola usłyszawszy szmer chwyciła się tego pretekstu by go prosić, ażeby przy niej pozostał. Usiadł więc Sylwan przy łóżku, a Viola niepuszczając jego ręki, jakby odżywiona podniosła się nieco na łóżku, bladym uśmiechem ciesząc się z tej pomocy losu...

Na Szerszenia spuścić się było można iż progu nie da przestąpić. Jakoż po żwawej utarczce z panem Hermanem, przepuściwszy tylko bukiety, Paweł wytrwał na stanowisku i drzwi na klucz zatrzasnął.

— Ale tego bądź pewnym, zawołał mu Herman odepchnięty nad uchem, że ja nie ustąpię, siadam na wschodach i będę do rana czuwał.

— Siedź sobie pan i cały tydzień... moiści do brodzieju, panie grafie rzekł Szerszeń—gdybyś był i dziesięć razy panem grafem... to ja cię tu nie puszcze... to darmo!

Sylwan napróżno chciał wymknąć, musiał, rad nie rad zostać w tém krzesle przy chorąg, której twarzyczka blada śmiała się szczęściem. Pan Paweł palce kładnąc na ustach, cichutko się zbliżył do niego.

— Ja dopilnuję tego jegomości, rzekł, wszyscy się rozeszli—przecie i on tu nocować nie będzie. Niech pan spokojnie posiedzi.

I wrócił do wchodowych drzwi... Otworzywszy je pomalutku... zajrzał zobaczyć, plecy Hermana, który cygaro zapaliwszy po ciemku na wschodach oparty o ścianę zajął stanowisko—i—prędko znowu przymknął.

Próby te powtarzały się kilkakrotnie w przeciągu pół godziny—Herman siedział. Wreszcie znudzony Szerszeń ze świecą wyszedł próbować na upartym siły wymowy i argumentu.

— Jakże pan u kaduka, moiści dobrodzieju, panie grafie—odezwał się—możesz nawet żądać do chorąg panny gwałtem wejść o północy?

— Muszę się dowiedzieć co się z nią i z moim bratem dzieje, bom pewny że on tu jest...

— Zkąd pewność? spytał Szerszeń... Jest lekarz tylko...

— Ja potrzebuję natychmiast widzieć brata, powtórzył Herman... mój brat jest tu! musi być... Szerszeń zmilkł... zafrasowany...

W tej chwili przypomniał sobie boczne wschodki, któremi go mógł wypuścić, zamknął wnijsie mruczając... poszedł do Sylwana i gwałtem go prawie oderwawszy od Violi, której pogroził, spuścił się z nim po cichu do ogrodu...

XV.

Nazajutrz Sylwan leżał jeszcze w łóżku, gdy dzwonienie do furtki zbudziło jego chłopca, który poszedł otworzyć. Spiesznym krokiem wpadł Herman nie zdejmując kapelusza, wprost do łóżka Sylwana; spojrzął na niego smutnie jakos i odezwał się.

— Byłeś wczoraj u Violi czy nie? co się z tą biedną dzieje?

Sylwan kłamać nie chciał... nie namyślał się długo...

— Więc byłeś! tegom się domyślał i odparł siadając Herman. Tobie jednemu tam wejść było wolno.—Viola wyzdrowieje, ażeby też ją to wyleczyło z choroby serca! Jój miłość dla ciebie a twoja litość dla niej może wcale smutne dla ciebie skutki. Szukałem cię od wczoraj ażeby ci powiedzieć... że Hanna jest zazdrosna, rozgniewana, oburzona i—kto wie jakie z tego mogą być następstwa... Trzeba żebyś się uniewinnił i wytłómaczył przed nią. Jest źle—jest bardzo źle.

— To być nie może!

— Daje ci najuroczystsze słowo! gonię za to-

bą od wczoraj... Hanna z teatru wyniosła to przekonanie że ty się kochasz we Violi...

Mówiłeś mi wiele razy że mnie nie rozumiesz, ja ci dziś powiem że niepojmuję ciebie.—Bardzo [to heroicznie przez miłosierdzie dla sieroty poświęcać swoje szczęście—lecz ja zaczynam wątpić czy kochasz Hannę?

Sylwan porwał się z łóżka ręce łamiąc.

— Kocham ją! zawołał—kochać ją będę do śmierci, ależ człowiekiem mimo to być muszę... tam szło o życie.

— A tu może iść o szczęście twój! rzekł Herman zaczynając się przechadzać po pokoju.

— Robiłem com tylko mógł, by pannę Hannę wywieść z błędu uspokoić—lecz zdaje mi się że nawet siostrze twój rozdrażniona musiała coś powiedzieć... strasznego bardzo. Domyślałem się tego z jej twarzy...

Sylwan westchnął.—Po Hannie niespodziewałem się tego.

— Chwytała rzekł Herman, każde twe wejście skierowane ku scenie, każdy błysk oczów Violi—za każdą razą drżała i blada—wreszcie z gniewem rzuciła się ku Lelii siedzącej obok w łoży i pozostała blada, osłupiała do końca przedstawienia.

— Biegne natychmiast do mojej siostry—odezwał się Sylwan wzruszony—będę się starał widzieć z panną Hanną i przed nią wytłómaczyć. Nie czuję się winny.

— Siedziałem prawie całą noc na wschodach tej dziewczyny—dodał Herman, chciałem ciebie z tamąd wyciągnąć... Wiedziałem żeś tam był, z kimże wyszedłeś?

— Dajmi już pokój z temi pytaniami... chmurno odpowiedział Sylwan Dziękuję ci za troskliwość, sam będę wiedział jak sobie radzić i co począć.

Zdawało się że Herman chciał jeszcze mówić coś więcej, ale się powstrzymał.

— Wierz mi—szepnął w końcu namyśliwszy się—że com uczynił to przez troskliwość o ciebie i—dla tej biednej Violi — żal mi jej niewymowny...

Podał rękę Sylwanowi, uściskali się w mileczeniu. Ubrany na prędce, z gorączkowym pośpiechem Sylwan pobiegł do siostry... Znalazł ją w progu domu wybierającą się do niego, z twarzą smutną i zmęczoną.

— Sylwanie, zawołała zobaczywszy go szukam cię od wczoraj, w śmiertelnym jestem niepokojem z twego powodu. Hanna! Hanna się gniewa—Hanna która była ze mną jak siostra... wczoraj znalazłam ją tak zmienioną, tak podrażnioną! a! tyś bo sam winien... Oburza się na ciebie za zbyt, doprawdy niewytłómaczone zajęcia tą dziewczyną! Co cię może jakiś tam szurgot obchodzić... Podszepnięto jej znać wskazano twoje zajęcia tą głupią dziewczyną... Dla niej możesz stracić Hannę! Niepojmuję twój postępowań! a! wy mężczyźni... Sądziłam że choć ty wolny jesteś od podobnych miłości...

— Moja Lelio—przerwał Sylwan oburzony—czyż i ty będziesz mnie o nie posądzać! Nie wolno więc mieć miłosierdzia, pomódz sierocie, żeby w tém nie upatrzono, egoizmu i spekulacji obrzydliwej! Ani Hanny, ani ciebie—ja znowu nie rozumiem—możecie, godzisz się wam tak łatwo posądzać—kogo? mnie!

Sylwan ruszając ramionami przechadzał się oburzony po pokoju, do którego weszli razem, smutek i gniew malował się na jego twarzy.

— Nie mogę tego ścierpieć, rzekł—by to pozostało jak jest... muszę się widzieć z Hanną—Herman mi przyszedł oznajmić że się gniewa, ty potwierdzasz—potrzeba raz pomówić szczerze

i otwarcie. Ja się z nią widzieć muszę, ona mi tego odmówić nie może, nie powinna. Błagam o to!

— Cóż mam zrobić? iść ją tu prosić, bo ty tam pójść nie możesz? spytała Lelia. Poprobuje, jestem posłuszna... Idę.

Wskazawszy fotel bratu, ścisnąwszy mu rękę w mileczeniu. Lelia poszła—ale smutna i pomieszana... Sylwan padł na siedzenie i pozostał w niem przykuty.

Naprzeciw niego wiszący zegar, męczarnię długiego oczekiwania rozdrabiał mu na setne części sekundy, aby się dłuższą wydawała. Godzina stała się wiekiem, myśl miała czas przebież wszelkie możliwe następstwa wypadków. Smutno mu było. Z wlepionymi w wskazówki zegaru oczyma czekał zdrewniały, rachując przydzie czy nie, Nareszcie szybki chód po wschodach dał się słyszeć, ucho rozeznało kroki dwóch osób, zaszeleściły suknie, drzwi się otworzyły—Hanna weszła... blada i pomieszana. Sylwan zerwał się i stanął przed nią milczący, jak winowajca przed sędzią...

— Stawię się na rozkaz wasz! zawołało dziewczę, poruszonym, pełnym tłumionego gniewu głosem...

— Czyżbym śmiał pani rozkazywać? odezwał się Sylwan — prosiłem błagałem, bo w niepewności i trwodze wytrzymać nie mogłem—a sam do pani przyjść nie odważyłem się—Herman mnie przestraszył—pani się gniewasz... pani..!

Przerwał nagle i począł zbliżając się ku niej zmieniając głos.

— Panno Hanno! być że to może abys pani, pani mnie mogła posądzać o fałsz, o kłamstwo, o zdradę i o nizekzemne jakieś intrygi pokątne? Zkąd ta niewiara—jaki powód do niej?

— Powód? rozśmiała się Hanna rzucając na krzesło... czyż pytać o to można? Całe miasto mówi o pańskiej miłości dla tej aktorki, która, miała się wczoraj chcieć otruć z tej wielkiej passyi, szału i rozpacz... Cały wieczór wczoraj nie odwróciłeś pan oczów od sceny?

— Panno Hanno! składając ręce rzekł Sylwan—któż się truje będąc kochanym i kochając? Co za wina że niemogąc na was patrzeć, by wam nie czynić przykrości, oczy miałem skierowane na scenę!

— Ale z jakim wyrazem? z jaką czułością—podechwyciła Hanna... patrzałam na to! widziałam, czułam i—oburzałam się.

— Panno Hanno! przerwał czule Sylwan—czyż pani mnie nie znasz! czy pani możesz mnie posądzać?

— Muszę!...

— Godzisz się... a to boli! ja pani nie poznaję.

— Ja pana nie poznaję, panie Sylwanie, dodała Hanna, kochaj pan kogo chcesz... ale nie ukrywaj uczucia i nie udawaj go!

— Na miłość Boga—Hanno—wtrąciła Lelia.

— Pani... zawołał Sylwan—czyż taki fałsz ohydny, takie kłamstwo możesz mi pani zadawać? Jestli to w moim charakterze? Cóżbym miał za powód do niego? Posądzaszże mnie pani o rachubę? na Boga!

Hanna zbładła poruszona.

— Posądzam pana o to że się wstydzisz uczucia, któremu uległeś i z którego się tairsz, a chęć byś był otwartym i zmusić pragnę byś mi powiedział prawdę.

— Prawdę jest i będzie—zawołał Sylwan, że panią kochałem i kocham, wielbię—czczę, ale nierozumiem—Viola obudza we mnie litość.

— Za wielką! dodała Hanna—sam może nie znasz uczucia jakie masz dla niej, lecz oczy ob-

cych i moje własne nie omyliły mnie. Jesteś nią zajęty...

Sylwan oburącz się schwylił za głowę spojrzawszy na Hannę bladą—zamilkł smutnie.

— Mijże pani litość nademną! to przywidzenie—rzekł po chwili—a boli mnie, od niej szczególnie... boli srodze... Czyż pani nie czytasz w sercu mojem?..

— Może lepiej niż wy sami! ponuro dodała Hanna—lecz—pocóż te tłumaczenia i wymówki? Można się ze wszystkiego tłumaczyć, a wrażenie nie odejdzie nie—moje oczy patrzyły, serce czuło... słowa nie pomogą... ja wiem! ja czuję Pani Sylwanie—ona was więcej niż ja obchodzi... Grzechu w tém niema...

— Pani mnie zabijasz—niewinnie—szepnął Sylan...

Lelia przystąpiła do niej z wolna.

— Handziu droga—odezwała się, czysz tylko własnymi a nie cudzemi oczyma patrzyła—zastanów się—uległaś temu co chcieli widzieć i wmówić ci drudzy.

— Ja? nie, przerwała Hanna, chciałam nie wierzyć—zostałam zmuszoną. Co słowa znaczą, gdy czyny świadczą inaczej... Zresztą boli nawet to że rzecz jest jawną, że o niej mówi miasto całe. Dziś z rana, dziesięć już osób przychodziło z tą wiadomością, że wczoraj widziano pana Sylwana pędzącego po teatrze do mieszkania aktorki, do którego nie wpuszczano potem nikogo... Wszystkim wiadomo żeś pan tam u łóża tej interesującej chorój całą noc przepędził!

Sylwan zamilkł ponuro...

— Czyżby mi nie miało być wolno mieć litości nad nieszczęśliwemi? zapytał po chwili.

— Panu wolno wszystko—lecz ludziom też sąd wolny! To nie była litość... to silniejsze nad nią uczucie... Serca podzielić nie można... a kto oddał całe... całego ma wymagać prawo... Pani Sylwanie, ja pana... ja pana uwalniam.. ja chcę być też wolną;—dodała—boli mnie... lecz muszę.

— Hanno moja! przerwała Lelia—co ci się dzieje! to przywidzenie! to fantazyja! nie zabijaj człowieka, nie dręcz siebie nadaremnie—Sylwan.

Sylwan w tej chwili sięgnął ręką drżącą po leżący na ziemi kapelus. (d. c. n.)

LITERATURA ZAGRANICZNA.

Dokończenie. (Ob. Nr. 98).

Les problèmes du XIX siècle, par Paul Janet.—Paris, 1872.

Owoż, pojęcie to siły życiowej, której wytłumaczenia nie dają fakta i siły przyrodzone, nie tłumaczy nam ze swój strony żadnego objawu szczegółowego, siła ta bowiem jest po za objawami; ona jest tém bez czego objawy nie byłyby możliwemi, nawet przy warunkach bezpośrednich jakie im towarzyszą. Do czegoż więc ona służy? Oto odpowiada ona metafizycznej potrzebie umysłu; która jest jego organiczną częścią, i której nie w świecie usunąć zeń niezdolne. Dla fizyka dostatecznym jest gdy się dowie i przekona jakie przyczyny wydają pewne skutki; metafizyk w niezmienności tych skutków widzi pewne prawo i pyta się jakim sposobem prawo to istnieje. On niepojawia takiego fenomenu któryby sam powstawał z niczego, samowolnie jedynie dla tego że go poprzedził drugi; on nie pojawia fenomenu któryby był objawem niczego lub wytworzonym został przez nie. Dla niego po za fenomenem potrzebny jest numen, jakkolwiek go nazwiemy, substancją czy przy-

czyną. Przyczyna ta niesłuży do niczego, fizycznie mówiąc; jest ona przymiotem ukrytym, ale odpowiada temu prawu umysłu, który od fenomenu prowadzi nas do istności i stanowi podstawę bytu dla metafizyki.

Jakiegokolwiek są i jakiegokolwiek w przyszłości zjawić się mogą postępy umiejętności przyrodniczej, jakiegokolwiek nastąpi rozwiązanie problemu życia, umiejętność ta, o ile zdrowy rozsądek w ludzkości panować będzie, w niczem nie nadweryży istnienia pierwiastku niematerialnego, który zwie się duszą myślącą. Jeżeli dziś umiejętność ta przyznaje, że życie odróżnia się od sił martwych cechami odmiennymi, témbardziej też przyznać musi i dziś i zawsze, że dusza myśląca odróżnia się od materji cechami nie tylko odmiennymi ale nawet wprost przeciwnymi. Można przypuścić to, że życie jest wypadkiem urządzenia fizycznego, ale ani przypuścić ani pojąć tego nie można; ażeby podobnym wypadkiem była dusza myśląca. Człowiek żyjący może być machiną, człowiek myślący, tworzący, odgadujący, machiną nie jest i nigdy za machinę uchodzić nie będzie. Zgadamy się, że nie ma myśli bez fosforu, ale żeby fosfor był, przy wszelkich możliwych kombinacjach twórczym i zasadniczym początkiem myśli, na to nie zgadzają się, jak widzieliśmy, sami koryfeusze przyrodniczości, i chyba nikt nie zgodzi się nigdy, lecz zawsze pozostawi coś dla badań stojących po za obrębem państwa fizyki, czyli metafizycznych.

Jeżeli więc tym sposobem zgodzimy się na uzasadnienie bytu tej nauki, jako też na to że ona odpowiada niezatrzaconej potrzebie umysłu ludzkiego, że cel jej jest tak rzeczywistym iż zaprzeczać go nie można bez zburzenia samego gruntu naszych poznań,—to należy wskazać cel jaki ona sobie zakłada, określający zarazem granice jej i plan.

Głównym zadaniem jej, i ostatniem w porządku historycznym, jest właśnie to które podjął Kant w *Krytyce czystego rozumu*, a po nim uzupełnił Herbart zarówno z Fichtem młodszym, czyli: przejście od myśli do bytu, albo od idei do rzeczywistości; inaczej mówiąc, prawo jakie mamy twierdzić, że rzeczy które pojmujemy, z konieczności istnieją, i że istnieją tak jak je pojmujemy. Dopóki zadanie to nie jest rozwiązaniem, niepodobna jest żadnego innego rozwiązać w sposób stanowczy i istnie zadawalający umysł. Lecz czy jest ono do rozwiązania? Oto pytanie,—na które nie wahamy się odpowiedzieć twierdząco. Trzeba być albo za rozumem albo przeciwko niemu. Kto jest za nim już tym sposobem przyjmuje wszystkie jego pojęcia i wnioski legalne, i staje się dogmatykiem racjonalnym, zarówno metafizyk jak i materialista. Kto jest przeciwko niemu, z tym nie ma rady, dla takiego i dwa razy dwa—cztery, będzie jeszcze kwestyą sceptycyzmu, a więc w obec jego zapatrywania się, nie będzie można przyjąć do rozwiązania niczego na świecie, bo wszystko co jest w nas i około nas może być ułudą, tak samo jak byt. Środka między temi dwoma punktami nie ma i daremnie on kuśił się Kant.

Z pierwszego wyszedłszy punktu i po ustanowieniu w sposób ogólny łączności pomiędzy rozumem a naturą rzeczy, czyli pomiędzy myślą a rzeczywistością, trzeba tę ostatnią badać ze wszystkich istotnych punktów widzenia jakimi ona zwraca się do umysłowości naszej należy rozważyć każde z pojęć stanowiących substancję myśli naszej w stosunkach w jakich one zostają do siebie samych i do gruntu rzeczy. Tym sposobem sta-

wimy sobie zapytania: co to jest jedność, substancja, przyczyna, czas, przestrzeń, trwałość, tożsamość, dobro, nieskończoność, możliwość, konieczność,—i to nie tylko w umyśle pojmującym lub w fakcie intelektualnym przez który się objawiły, ale w samychże przedmiotach:—zapytania, na które w żadnej umiejętności żadnej nie znajdujemy odpowiedzi. Zmuszeni będziemy wtedy zastanawiać się i zdeklarować, czy to są istoty, czy przymioty, lub proste względy; i wszystkie te pierwiastki, a ściślej mówiąc, wszystkie te rozmaite postaci bytu, rozpoznane z osobna i w sposób analityczny, musimy zestawiać z sobą i sprowadzić do jednej syntezy.

Niezależnie od tych spekulacji ogólnych, jest jeszcze to co zazwyczaj nazywamy metafizyką każdej umiejętności, a co nieczem innym nie jest, bądź co bądź o tém powiedzą naturalisci, tylko stosowaniem pojęć metafizycznych do rozmaitych gałęzi ludzkiego poznania. Jakoż odkładając wszystkie objawy szczególne uzasadniające się przez zmysły i prawa określone rachunkiem,—zechcemy zapewne dowiedzieć się, co to jest: w fizyce—ciężenie, elektryczność, plyn magnetyczny; w zoologii—organizmy, czyli te żyjące formy tak niewzruszenie utrzymujące się w rodzajach i gatunkach;—w fizyologii—co to jest życie i śmierć, jaki jest pierwiastek obiegający w ekonomii zwierzęcej, który stoi na czele wszystkich spraw życiowych i pod panowanie swe podciąga najróżnorodniejsze żywioły.

Czyż te wszystkie pytania nie są umysłu ludzkiego godne? Czy zaprzeczy kto, ażeby kiedykolwiek przestały interesować ludzkość? Czy nie zasługują na to, ażeby stanowiły oddzielny, niepodległy i samoistny system badań, nie zaś miały być pobocznie i z lekceważeniem zbywane lub potrącane mimochodem przez myślicieli przyrodniczych, którzy pracując na odmiennym gruncie i odmiennymi środkami, nader łatwi są do wniosków w rzeczach całkiem innej natury, nad którymi zastanawiają się przeciwieństwo wariacji ani idyoci, a które ogarnia w sobie metafizyka?

Ale w obec takiej ścisłości badań jaką odznaczają się nauki fizyczne, czy metafizyka ma równe prawo postawienia się w rzędzie nauk, czy zdobędzie się na odpowiednią metodę i elementa podobnej ścisłości? Sądźmy, że tu niepowinno być wielkiej różnicy zdań wśród umysłów nieuprzedzonych. Nasamprzód metafizyka spirytualistyczna ani potrzebuje ani może odosobnić się od rezultatów badań nauk przyrodniczych powinna owszem gwołi swój postęp ich spożytkowywać; jakiebykolwiek były ich wypadki choćby z pozorostawiające kwestyę w sposób najkorzystniejszy dla materializmu nie one nie przesądzą kwesty metafizycznej, ta bowiem na zupełnie innym zaległa polu, które znowu fizykowi zgoła nie jest odpowiednim. Jego rzeczą jest ograniczyć się na tem twierdzeniu, że w dziedzinie własnej jego umiejętności wszystko jest określone, że żaden objaw nie następuje bez pewnego oznaczonego kierunku, który zawsze jest jednakiem względnie do objawów podobnych, zawsze różnym względnie do objawów odmiennych: oto cała filozofia naturalisty. Czy zaś istnieje jakiś świat, w którym rzeczy nie odbywają się w ten sposób, czy jest jakiś porządek przyczyn metafizycznych działających według innych praw, tego naturalista ani twierdzi ani przeczy; tego on nie wie, tém się zajmować nie ma potrzeby: niech się tam z tém psycholog, moralista, metafizyk, urządzają jak mogą.

Z jakiegoż tedy początku wychodzi metafizyka? Oto, uważa ona, że w człowieku są dwie dziedziny, ściśle bezwzajemnie z sobą połączone,

ale istotowo różne: dziedzina podmiotu i dziedzina przedmiotu, mówiąc ulubionym językiem filozofii niemieckiej. Ciało człowieka należy jeszcze do dziedziny przedmiotowej, jest to rzecz zewnętrzna podległa badaniu jak wszystkie rzeczy zewnętrzne: to zaś co dzieje się we wnętrzu podmiotu, może być badane tylko przez sam podmiot. Może ktoś widzieć i dotykać się naszego mózgu, myśli naszej ani widzieć ani dotknąć się nie może. Powie kto, że tak samo rzecz się ma ze sprawami fizyologicznymi, o których także zmysłowego nie mamy przekonania w *jaki sposób* działają; ale na to odpowiedź jest taka, że sposób objawiania się myśli również jest przed nami ukryty, ale fenomen myśli znamy dobrze i znamy go tylko wewnętrznie, co większa, fenomen ten w żaden sposób nie może przedstawić się w formie przedmiotowej od podmiotu oderwanej. Oddzielność więc między podmiotowością i przedmiotowością pozostaje nie wzruszoną i oddzielność ta może mieć miejsce w człowieku samym, gdyż ciało odnosi się do podmiotu a dusza do przedmiotu. Tym sposobem, skoro człowiek przedmiotem swjej myśli czyni takie mnóstwo rzeczy zewnętrznych, czemużby przedmiotem jej nie miał uczynić jej samej, tego zewnętrznego świata, który ma także swój byt i swoje formy równoległe od form świata zewnętrznego. Oto jest prawo bytu metafizyki. Czém w fizyce jest spostrzeganie zmysłowe, badanie oparte na rachunku i mierze, przed przyjściem do wniosku; tэм w rozwiązaniu fenomenów wewnętrznego świata będzie stosowanie praw logiki do przedmiotów pewności intuicyjnej i wyciąganie stosownych wniosków, opartych choćby na tej pierwszej niezbitej prawdzie jaką myśl posiada, zawierającej się w słowie: *jestem*. Analiza, rozumowanie i wnioskowanie, zależą już od metody jaką przyjmujemy i od dzielności i roztropności myśli zastanawiającej się: nie ma obawy o wykonanie, choćby po próbach najniezwyklejszych, jeżeli tylko zgodzimy się na to że natura przedmiotu nie odpycha wykonalności. Byłoby zapewne zachwalstwem twierdzić, że metafizyka z całą plastyką do jakiej zdolne są nauki przyrodnicze przedstawi rezultaty swych spirytualistycznych założeń, albo że kiedyś dojdzie do ostatecznego ich rozwiązania w sposób tak jasny i oczywisty, jak określa swoje punkta wyjścia; ale z drugiej strony, toż samo powiedzieć można i o całej naturalistyce, bardzo dalekiej od spełnienia zakresu jaki sobie naznaczyła, po za którym spoczywa jeszcze mnóstwo tajemnic ani wadze, ani mierze ani rachunkom niedostępnych, ilekroć zwłaszcza nauka wchodzi w sferę ustrojów żyjących.

Trudno jest nam zdać całą i dokładną sprawę

z ogółu książki p. Janeta, gdyż myśli jego są nadzwyczaj rozrzucone po wszystkich stronnicach a to z tego powodu iż książka ta nie przedstawia pojedynczego i jednolitego dzieła, ale jest poprostu mówiąc zbiorem recenzji drukowanych dawniej już w *Revue des deux mondes*. Zawsze tam za punkt wyjścia do rozprawy służy dzieło innego myśliciela, którego podziałając lub zbijając opinie, sam krytyk znajduje sposobność do wypowiedzenia swoich. Krytyki te są, rozumie się wzorowe, istnie akademickie, dotycząc szczegółowo pewnych części przedmiotu, nie wyczerpują nauki samej ani żadnej organicznej nie przedstawiają całości. Jedną atoli myśl główną błąka się wszędzie, tę zatem która i autorowi i nam wydała się tam najważniejszą, a jest panującą, staraliśmy się przedstawić. Byłoby zapewne wiele także rzeczy do powiedzenia szczegółowo o ustępie rozbiegającym, w liczbie innych zadań wiekowych, zada-

tach których wybór świadczy, że urządzeniu rocznego sezonu prelekcij nie towarzyszy żadna myśl przewodnia, dążąca do zamknięcia szeregu odczytu w pewien cykl któryby stanowił pewną całość organiczną, a zmierzał do systematycznego wyjaśnienia pojęć słuchaczów w różnych gałęziach wiedzy. Czy takie liczne pojedyncze wystąpienia panów X. Y. Z., choćby najlepiej wywiązujących się ze swego zadania, przynoszą istotną korzyść?—wolno o tэм powątpiewać, a wątpliwość ta staje się jeszcze silniejszą, jeżeli katedra bywa niejednokrotnie polem do popisu z pustymi frazesami, wytartymi ogólnikami, a co gorzej szrankami dla zupełnej nieudolności!

Utworzenie ciała prelegentów którzyby stosownie do uprawianych specjalności rozdzielili między siebie przedmioty do traktowania, składające się na organiczną całość, byłoby jedynym środkiem zainteresowania publiczności i zapełniania pustek które mi zazwyczaj świecą obie sale prelekcyjne. Mniejby może w takim razie wstępowało na stopnie katedry dyletantów rozprawiających o rzeczach, które zaledwie z nazwy znają, lub darzących publiczność odrzucaniem po pismach peryodycznych artykułami.

Już to dyletantyzm rozwielnia się u nas z zastraszającą szybkością—a na katedrze ma bez porównania więcej szans powodzenia niż gdziekolwiek indziej. W literaturze go nie brak, ale tam musi być ostrożniejszym: *scripta manent...* na katedrze zaś... fraszka! *verba volant!*... Dodać tu jeszcze należy iż przybył mu temat nieoceniony... kopalnia niewyczerpana dla frazeologów i stylistów... chcemy mówić o kwestjach społecznych. Jeden z prelegentów wyrzekł niedawno, że kwestye te najlepiej nadają się

odeczytów publicznych. Nie myślimy temu przeczyć—ale wyrażenie *nadają się*, cokolwiek inaczej pojmujemy. Przedstawia ono dla nas dotąd niestety ujemne tylko znaczenie, bo pod jego sztandar stawali albo tacy którzy nigdy nie rozumeli iż rzeczy społeczne *muszą* być rozbiране na gruncie naukowym zarówno jak wszelkie inne kwestye; lub też tacy którzy wiedząc o tэм dobrze a źle pomując rolę popularyzatorów traktowali słuchaczów jak młodź szkolną której wystarczy kilka wypisów z podręczników, rzekomo rozjaśnionych konceptami wątpliwego smaku. To popularyzatorstwo lekceważące silnie jest także w prassie reprezentowane,—tak że gdyby cudzoziemiec jakiś przeczytał kilka pism naszych peryodycznych, i posłuchał nie jednego odczytu, nabrałby przekonania, iż znajduje się nie w społeczeństwie mającém dziesięć wieków swjej historii, ale w kraju Czerwonoskórych w którym pionierowie cywilizacyi zakładają



KONIE WŁOŚCIAŃSKIE.

Kopia z aquarelli Juliusza Kossaka. (patrz opis Nr. 24).

nie polityczne, któremu autor poświęca sporą rozprawę z okazji dzieła Tocquevilla; ale co do tego wolimy czytelnika odesłać do samego tekstu.

Z KATEDRY.

Odczyty publiczne idą w tym roku z wykląm, ubitym torem. Prelegenci występujący w ogóle z wielkim zasobem dobrych chęci,—niektórzy z istotną znajomością traktowanego przedmiotu, następują po sobie przemawiając to z salki teatralnej w Towarzystwie dobroczynności, to z estrady w resursie obywatelskiej do szczyplęj zwykle garstki publiczności, w przedmio-

pierwsze podstawy bytu społecznego. Przypomina to doprawdy czasami dumę młodzieńca żadnego nauki, który niecierpliwie prowadząc studia, przekonany jest co chwila, że samotwórczą siłą nowe ciągle odkrywa światy,—a dopiero przesłęczawszy nie jedną noc nad księgami dowiaduje się iż odkrycia jego przez innych dawniej już poczynione były. Sumienny pracownik staje się w następstwie pożytecznym pracownikiem,—letkiewicz nie zrzeka się roli odkrywcy i powiększa zastęp Kolumbów *in partibus infidelium* żeglując po ciepłych lub nieszkodliwie wzburzających się wodach publicystyki. Jedną z takich awanturycznych podróży był bezwątpienia odczyt p. Feliksa Ehrenfeuchta „O prawdzie w literaturze.”

Obiecywał on wiele... dotrzymał za mało — zwykła to niedogodność zachęcających tytułów, gdy siły wykonania nieodpowiadają wadze przedmiotu. Nie można jednak zarzucić prelegentowi, że w pogadance s w e j nie dość pamiętał o zapowiedzi a n e j treści. Owszem tytuł odczytu zobowiązywał do mówienia o prawdzie w literaturze i p. E. mówił o niej istotnie rozszerzając się nad tém (w ogólnikach) jako jest nader szacowną, właściwą, pożądaną, zbawienną: czy to brzydka, czy piękna, „ pach nie czy niepachnie” wstrętna czy zajmująca. Prawidło zdaje się jasne,—wypada tylko porozumieć się według jakich i czyich przekonań mają być odtań wybierane temata do arcydzieł —bo wyraz pra-

wa jest pojęciem nieokreślonym, nazwą którą marzyciel ozdabia złudzenia swęj wyobraźni, sekiararz—hasło swego stronnictwa, doktryner swoje naukowe fantazyje. Co innego podaje za prawdę kapłan chrześcijański, inaczęj ją przedstawia mułła lub szaman, inaczęj wyobraża ją sobie romantyk, inaczęj materyalista inaczęj ateusz, inaczęj dewotka. Jakież prawdy powinny przewodzić w literaturze? Prawdy pozytywne głosi p. Ehrenfeucht. Objaśnia to o tyle rzecz, jak gdyby powiedziano było: prawdy idealne lub prawdy religijne. Takie reguły nie narzuca się bez ceremonii, trzeba jęj dowieźdź, czego p. Ehrenfeucht nie próbował nawet; trzeba przynajmniej wytlómaczyć jęj stosunek do piśmiennictwa, co również nie miało miejsca w odczycie.

Drugim warunkiem tworzenia, jest według p. E. użyteczność. Znowu jedno słowo rozcięzione w kilkudziesięciu frazesach, na wiatr ulatuje. Użyteczność—ale jaka? Czy ta co uczy? czy ta co karmi? czy ta co odziewa? czy ta co bawi? Jest jęj wiele gatunków,—są prawdy użyteczne należące do dziedziny gastronomii, higieny, medycyny, fizjologii i t. p. które przy całej swęj użyteczności i prawdziwości mogą służyć za treść do książki kucharskiej, do „urzędnika zdrowia małżeńskiego” lub do „apteczki domowej” będąc zupełnie obcym żywiołem w literaturze. Sądziemy więc, że estetycy w zasadzie nie błądzą tak lekkomyślnie, jak mniema p. E. gdy ograniczają zastosowanie prawd w sztuce, co zresztą w swoim zakresie czynią i matematy-

pora. Nie chciał albo nie uniał,—wszystko to jedno, skoro fakt improwizacji nieugruntowanej wcale na znajomości przedmiotu — spełniony. A niewiadomość niestety, przeciwna pozytywnej metodzie wiedzy i postępu jest szkopulem, od którego jak świadczy katastrofa odczytu, nie broni żadne rozpaczliwe uciekanie się pod opiekę modnego sztandaru. Sztandarowi służy się pracą, rozważą, zdolnością a nie deklamatorskimi zamachami w próżni nie przysparzającami ani sławy junakom, ani sprawie pożytku.

Gdybyśmy względem p. Kamińskiego postawili sobie pytanie czy prelegent mógł lepiej opracować ważny temat „o podziale pracy,” aniżeli to uczynił na tegorocznym swoim odczycie,—przeszłość dałaby nam odpowiedź twierdzącą,

bośmy już mieli sposobność pochlebnie się odezwać w „Wieńcu” o przeszłoroczném wystąpieniu publiczném p. K. w reursie obywatelskiej. Jeżeli więc mógł, dla czego nie postarał się prelegent o pozostawienie trwalszego i poważniejszego wrażenia po swoim odczycie nad niezbyt pochlebny okłask którym pożegnano nie ekonomistę a ni badacza rzeczy społecznych, ale po prostu mniej więcej dowcipnego a raczęj dowcipującego felietonistę? Prelegent sam odpowiedział nam na to zapytanie oświadczając że brak systematyczności w traktowaniu zapowiedzianego przedmiotu, potrącenie o kwestye pośredni tylko związek z głównym tematem mające, były złem umyślném mają-



RUINY PROPYLEÓW W ATENACH.

cy i technicy i naturalisci i astronomowie i w ogóle przedstawiciele rozmaitych specjalności.

Zachwalana przez prelegenta otwartość urzędniczej przysłówie: co na myśli to na języku, nie jest także Bóg wie jakim skarbem, zwłaszcza jeśli te myśli są błahe lub niedorzeczne i dla tego to zapewne Dumas syn (wielbiony w odczycie) radził czytelnikowi „mów wtedy tylko gdy musisz.”

Słowa te miały widocznie na względzie mówców publicznych.

Pomimo wzmianek o pozytywizmie, o wiedzy o postępie—zapatrywanie się prelegenta na prawdę w literaturze pozostało zagadką—ciekawą może przed odczycem, obojętną po odczycie. Czy p. E. potrafiłby lepiej wywiązać się z zadania gdyby zechciał?—nad tém zastanawiać się nie

em na celu pożytek publiczności, która nie często spotyka się w publistyce z rozbiorem rzeczy społecznych. Każdy chętnie przyklasnałby podobnemu zapatrywaniu się prelegenta, gdyby jednocześnie ścieśniające warunki jednogodzinnego odczytu, nie pociągały za sobą przekształcenia poważnej prelekyi na jakąś odcinkową pogawędkę z publicznością, która opuszczając salę wynosi z odczytu, zamiast naukowych pojęć kilka dykteryjek więcej? Pan K., wszedł na fałszywą drogę; zdawało mu się że metoda streszczenia najważniejszej kwestyj w dykteryjce lub ożywionym dialogu, uprzyśtępni słuchaczom sam przedmiot. Tymczasem metodą taką, można tylko *illustrować* wyluszczoną już i dobrze znaną teorię,—lub też dostarczyć rozrywki tym dorosłym dzieciom które w najpoważniejszych

rzeczach zabawki szukają. Niestety! cały odczyt pana K. zdawał się być tylko dla tych dzieci przeznaczonym. Po kilku uwagach wstępnych o celu odczytów publicznych, prelegent wykazał ekonomiczne znaczenie podziału pracy na przykładzie z Bastiata. Wystąpił tedy na scenę tradycyjny stolarz autora „Harmonij ekonomicznych” powtórzona została po raz nie wiemy już który historia fabrykacji szpilek, gwoździ, kart i t. p. Następnie pan K. idąc za Supińskim odróżnił podział pracy międzynarodowy w zwykłym tego wyrażenia pojęciu i między-okoliczny w którym cały szereg prac i oddawanych usług odbywa się w granicach jednego i tego samego kraju, tak że praca jakaś wychodząc z jednego oznaczonego ogniska wraca do niego po przejściu całego łańcucha różnych prac, w kształcie usługi które właśnie w owym ognisku brakowało. Prelegent czuł się też w obowiązku zbijać zarzuty przeciwko podziałowi pracy doprowadzonemu do ostateczności. Najważniejszy z tych zarzutów: przytępienie umysłu jednostki która całe życie nie więcej nie robi prócz np. wbijania łebków na przygotowane druciki stanowiące szpilki, uważany jest przez prelegenta za błąd. Pan K. przedstawił publiczności za przykład siebie, upewniwszy ją że praca kancelisty do której jakiś czas musiał się uciekać, bynajmniej władz jego umysłowych nie osłabiła. Z chęcią temu wierzymy, nie uważając jednakże argumentu prelegenta za stanowczy. Uwzględnijmy różnicę wykształcenia robotnika szpilek i szanownego prelegenta i zwróćmy na to uwagę że robotnik wbijający łebki na szpilki, odsunięty od swój roboty w jednym miejscu, w skutek właśnie tego przytępienia zdolności nie innego nie jest w stanie robić, jeśli zaś nie znajduje takiej samej pracy, narażony jest na śmierć głodową. Inaczej się rzecz ma z p. K. któremu mechaniczna praca kancelisty nie ścieśniła wszechstronności uzdolnienia, i nieprzeszkodziła do wystąpienia w jednym roku z broszurą „O prostytucji” w drugim z odczytem „O stosunku poezji do życia społecznego”, w trzecim „O podziale pracy”, co znowu bynajmniej nie stało na zawadzie do współpracownictwa prelegenta w „Opiekunie domowym” i w „Kuryerze codziennym”. W ogóle pan K. zdaje się być w ekonomii optymistą chętnie wyznającym zasadę *laissez faire laissez passer*. Świadczy o tym zapatrywanie się prelegenta na kwestyę maszyn zastępujących coraz bardziej siłę ludzką i odsuwających, z pojawieniem się każdego nowego mechanicznego pomysłu, pewną ilość pracowników od ręcznej pracy. Pan K. uspokaja słuchaczów że wynikię ztąd dla robotników straty są chwilowe, że zbywające siły muszą być zużyte w innym kierunku. Jestto prawie druga edycja argumentu o robocie kancelisty—i odwrócenie tylko oczów od natchmiasowej niedoli towarzyszącej wprowadzeniu każdej nowej maszyny. Rzucić z tego powodu anatemię na wszelkie wynalazki byłby zapewne dzieciństwem—ale najgorliwszy optymistą ekonomiczny przyznać powinien że zdobycze cywilizacji drogo się okupują. Dotknąwszy pobieżnie „podziału pracy” w znaczeniu ścisłe ekonomicznym, prelegent przeszedł na pole społeczne śledząc stosowanie tej zasady w ważnej sprawie wyboru powołania. Palącą tę kwestyę, tylekroć podnoszoną przez prasę naszą, zamknął prelegent w żartobliwej rozmowie pana X* który syna swego oddał do krawca, z panią Y, która nie mogła sobie wystawić jaką rolę czeladnik krawiecki odbywać będzie w salonie. W nowelce, humoresce jakiejś scena taka wybornieby posłużyła do charakterystyki pana X i pani Y—ale

pytamy się prelegenta, jakie dać mogła słuchaczom odczytu pojęcie o potrzebie oddawania do rzemiosła dzieci nie odznaczających się nadzwyczajnymi zdolnościami umysłowymi? Jeszcze bardziej lekceważącym było podniesienie kwestyi kobiecój. A przecież prelegent stanawszy nawet na dość ostrożnym stanowisku „podziału pracy” obu płciom przez naturę wskazanego, mógł jeszcze coś ciekawszego powiedzieć jak następujące *bon mot* które mniej więcej dosłownie podajemy: „Nie przeszkadzajmy kobiecie uczyć się śpiewać basem jeśli tego chce (a są i takie) ale nie powinniśmy ją do tego nakłaniać; należy ją raczej z góry przestrzedz, aby potem nie wygwizdać”. I pan K. jest pozytywistą! jak się o tém dowiadujemy z przemowy *pro domo sua* (słowa prelegenta). Wprawdzie później nieco usłyszeliśmy z ust prelegenta iż to mu nie przeszkadza bywać w Arkadyi!.. ale wyznajemy że po odczytaniu pana K. pozostały nam pewne wątpliwości co do tego pozytywizmu i co do owęj Arkadyi!..

Bądź co bądź zawsze to podobno lepiej, jeżeli o rzeczach społecznych przemawia pozytywista, który czasami bywa w Arkadyi, — aniżeli kiedy stały jej mieszkaniec, poeta, rozprawia o naukach przyrodzonych. Taki wypadek miał właśnie miejsce w sali resursy Obywatelskiej, gdzie pan Klemens Podwysocki zdolny tłumacz Wiktora Hugo polemizował z panem Darwinem (tak prelegent nazywał ciągle znakomitego uczonego). Każdemu kto przeczytał tytuł prelekcji o „przyczynach ostatecznych w obec materjalizmu” dziwnem się zapewne wydało, że p. P. zamiast filozoficznej analizy „pierwszych przyczyn” i „celowości w naturze” i krytyki zarzutów stawionych przez materjalizm przeciw tym teoryom, poczęstował słuchaczów szeregiem interpelacyj wystósowanych do pana Darwina i formułowanych np. w tych wyrazach: niech nam wybaczy pan Darwin i t. d. Istotnie pan Darwin wybaczy p. Podwysockiemu, jak zresztą wybaczył już nie jednemu antagoniście, który na polu nauk naturalnych większe miał za sobą zasługi aniżeli dobre zresztą przekłady... Wiktora Hugo; wybacze słynny przyrodznawca tém łatwiej iż spotkał się z dawno znanemi sobie zarzutami, które Quatrefages i inni niejednokrotnie mu już stawiali. Chwalebna jest taka solidarność pana P. z największemi uczonymi—ale pytanie co ona przynosi publiczności, której użytek winien być „ostatecznym celem” każdego odczytu! Kto jest o tyle wtajemniczonym w historię materjalizmu i spirytualizmu (boć do sporu tych dwóch odwiecznych systematów wszystko się redukuje), ażeby mógł swobodnie oryentować się wśród polemicznych subtelności tyczących punktów kulminacyjnych obu teoryj, ten wyniósł z odczytu p. P. wrażenie podobne do tego, jakiego się doznaje po odczytaniu jakiegos artykułu np. w *Revue des deux mondes*, przemawiającego do czytelników już przygotowanych i dostatecznie obznajmionych z przebiegiem każdej kwestyi. Słuchacz zaś pragnący na zasadzie obietnicy tytułowej dowiedzieć się czegoś o oderwanym znaczeniu ostatecznych przyczyn i doniosłości teleologii w spekulatywnych systematach filozofii natury, musiał być obecnym sprzecze p. P. ze znakomitym autorem „pochodzenia gatunków”, który dla niedość świadomego rzeczy audytoryum, stał się przedstawicielem krańcowego materjalizmu. Dla czego p. P. literat i poeta ma słabość do towarzystwa Quatrefages'ów, Lamarków, Darwinów, Millów, Spencersów (przeszłoroczny odczyt o „pozytywizmie”) kiedy go Wiktor Hugo tak wygodnie przy sobie

na Pegazie usadowił? Co go to może obchodzić po jakim szeregu zmian i przejść różnych Pegaz stał się koniem, kiedy koniec końców ten czworonóg wiezie go na Parnas na wspólny koszt z największym poetą Francyi? Wprawdzie Richelieu w chwilach wolnych od ucinania głów szlachcie, pisał tragedye i uważał je za wzorowe,—a Voltaire miał się za wybornego matematyka — ale wiadomo przecie panu P. że *comp raison n'est pas raison!*

W obec takich objawów świadomego siebie lub bezwiednego dyletantyzmu, jakże poważnie przedstawiało się traktowanie znaczenia jakie miał Petrarka w literaturze europejskiej! O pierwszym odczytaniu pana Faleńskiego w tej materji, wspomniano już w ostatniej kronice „Więca.” Drugi odczyt zaświadczył tak samo o zupełnym wtajemniczeniu się prelegenta w ducha poety, i w ogóle o wybornym panowaniu nad traktowanym przez pana F. przedmiotem. Szkoda tylko że sam plan tego studjum nagromadził mnóstwo zajmujących szczegółów do pierwszej jego części.—zapełniwszy drugą suchym trochę wykładem objaśniającym tajemnice formy utworów śpiewaka Laury. Wadliwości tego planu zniknęłyby w jednorazowym odczytciu; rozdzielenie studjum na dwie części popsuło ogólną harmonię całości, szczególnieźle wytwarzając warunki dla drugiej połowy, którą tydzień cały od pierwszej przedzielał. Słuchacze jednak i z tego odczytu jak najprzyjemniejsze wyniesli wrażenie dzięki przytoczeniu przez prelegenta przykładów poezji Petrarkowskiej (sonet, pieśń, sestina i ballada) w własnym pana F. tłumaczeniu. Świetne te przekłady, w których odżyły wszelkie zalety i właściwości oryginału: wdzięk, przesliczna melodia wiersza, kunsztowne onego obrobienie, a nawet zachowane zostały wszystkie techniczne trudności rymowania,—stanowią godne ilustracje tego studjum, które tak piękną, misterną formą, jak i wyborną treścią podtrzymało na chwilę chwiejającą się reputacyę odczytów publicznych.

Opuszczając salę prelekcijną po wysłuchaniu odczytu o „Petrarce,” nie jeden ze słuchaczów z westchnieniem rzekł do siebie.

— Szczęśliwy ten włoski piesniarz! żył sobie w obcym kraju lat temu pięćset, i tyleśmy się o nim nasłuchali, — a tu poeci jak Mickiewicz, Krasiński i Słowacki, — pisarze jak Kraszewski, Korzeniowski, Rzewuski, Kaczkowski na próżno czekają na poważną i wyczerpującą charakterystykę swęj twórczej działalności.

Być może iż p. Kazimierz Łuniewski dosłyszał coś z tego pobożnego westchnienia, bo postanowił zaznajomić publiczność z jedną z najwybitniejszych postaci literatury francuzkiej bieżącego stulecia... z Alfredem de Musset. Nie nasz to wprawdzie poeta... i zapewne szkoda że p. Ł. nie przysłuchał się dokładniej szemrani malkontenta, — ale przynajmniej autor Rolli ma to za sobą, że jako prawdziwe „dzieci wieku” należy do tej genialnej trójcy sceptycznych a chwiejnych pyszałków (Byron, Musset, Heine), którzy w trzech językach, nieledwie za naszęj pamięci, ciskali w świat skargi „Weltschmerzu” w dzisiejszym jeszcze pokoleniu odbrzmiewające od czasu do czasu przytłumionem echami. Alfred de Musset, śmiało rzeć to można, żyje jeszcze i u nas pewnemi stronami swego ducha, choć może nasze społeczeństwo, najmniej uległo rozkładowym wpływom rozkapryszonego „dzieci wieku.” Pan Łuniewski zaniechawszy zupełnie śledzenie procesu, w skutek którego Musset odbił piętno swęj odrębności na młodszych naszych poetach, zajął się tylko rozbiorem i charakterystyką prac poety francuzkiego. W charaktery-

stycie tej zdaniem naszym prelegent popełnił błąd ważny nie obrawszy za główny punkt wyjścia „Spowiedzi dziecięcia wieku“ streszczającej w sobie nie tylko całego poetę ale i człowieka, który przy posunięciu do krańcowości egotyzmu Musseta nie da się oddzielić od pisarza. Autor Rolli jest zawsze i wszędzie bohaterem swoich utworów—ale nigdzie może wszechstronnie, nigdzie otwarciej się nie wypowiedział jak w tych skargach na świat i ludzi spowodowanych zdradą pierwszej kochanki. Młodzieńcza szczerść, ból istotny, głęboki, nie pozwalają mu jeszcze drapować się na bohatera ani też topić w dumnych sofizmatach poczucia własnej słabości; z każdej stronicy tej prostej opowieści wieje prawda — w każdym wierszu piszący staje przed czytającym cały ze wszystkimi świetnymi popędami, ze wszystkimi krótko płonącymi ogniami bengalskimi namiętności, ale też z całą chwiejnością egoisty, który w miłości nigdy dać nie może tego, czego sam się domaga. Pan L. założył sobie dowodzenie stopniowego uszlachetnienia się polotu poetyckiego Musseta, i w tym celu streszczając każdy utwór starał się wykazać to podnoszenie moralnego poziomu w pomysłach poetę. Droga, jaką obrał prelegent może byłaby dobra, gdyby mogła być dłuższą, w jednogodzinnym odczycie wprowadziła ona słuchaczy w odmet drobiazgow, pośród których rozpląnąć się musiała niezbędna w podobnym studium ogólna charakterystyka, tak, że słuchacze nie mogli wynieść dokładnego wyobrażenia, ani o poecie, ani o człowieku, który był przedmiotem odczytu. Podział prac Musseta na parę cykli, i określenie znaczenia każdego cyklu, ułatwiłoby może zadanie prelegentowi, który jaśniejby i myśl swoją przeprowadził i nie zapełniłby odczytu tytułami wystawiającymi mnogością swoją na ciężką próbę cierpliwości słuchaczy. W opracowaniu całego odczytu znać było pewien pośpiech a wrażenie to zdawała jeszcze szybka i niewyraźna dykcja nie dogodna dla tej części publiczności, która się dalej od prelegenta usadowiła.

Gdy tak życie w różnych swoich formach i przejawach było na katedrze przedmiotem mniej więcej udatnych badań, wstąpił na tę katedrę p. Mayzel i zawołał *memento mori!*... będą mówił o cholery. Na pozór rzecz to naturalna. Kiedyż pisać i mówić o cholery, jeśli nie wtedy gdy ta epidemia panuje? Tak czytelnicy, ale co na to powie Towarzystwo Lekarskie, które zamknawszy się w uczonej milczeniu, źle trzyma o wszystkich niezachowujących tej pytagoresowskiej klauzuli? Otóż pan Mayzel pominął ten wzgląd i powiedział o cholery jedyną rzecz rozsądną, jaką dotychczas o niej powiedzieć można, to jest maksymę mędrca: „ja tylko to wiem, że nie wiem.“ I błędziłby każdy, kto by z tego zarzut prelegentowi postawił. Przyznanie się do nieświadomości dobre jest w kwestjach nierozjaśnionych we wszystkich gałęziach wiedzy, ale stokroć cenniejszym w medycynie, gdzie sprawdzanie hipotez np. o grzybkach cholerycznych, o *micrococcusach* odbywaćby się musiało kosztem zdrowia, a nawet i życia subiektów. Zresztą skromność prelegenta znajduje w tym razie poparcie w najpierwszych powagach naukowych, które tak co do przyczyn epidemii, jak i co do środków leczniczych kroczą jeszcze w najzupełniejszych ciemnościach. Zasługą więc jest prelegenta iż zawiadomił publiczność o panowaniu ciemności tam gdzie nie jeden bierze złudny ogień fantazyjnych przypuszczeń, za jasne światło nauki.

PROPYLEE.

Akropolis ateński, czyli jakbyśmy go przez porównanie z naszymi nazwami określić mogli *gród*, wyżyna ponad miastem panująca, na której najprzedniejszej opiekónczej bogini *Athene* cześć składano, był miejscem na którym Grecy zgromadzili co mieli najznakomitszych wytwórców swęj sztuki. Grubym murem wzmocniona nawpół skalista, nawpół ziemna góra, obronna być musiała, a zarazem dostępną wielkiemu mnóstwu nabożnego ludu gromadzącego się tam w danych chwilach na obchody świetne, tłumne, a pełne uroczystego przyjęcia. Starali się przodownicy narodu, aby temu przyjęciu, temu uniesieniu na odpowiedniej podniecie estetycznej i plastycznej nigdy nie zbywało.

Splaszczony wierzchołek grodowej góry napełniał się od czasu do czasu nowym, tę potrzebę zewnętrzną zaspokajającym pomnikiem i skoro się już miejsce czci, przybywającymi z kolei świątyniami *Eerechtejonu*, *Nike Apteros* (*), ogromnym *Parthenonem* (**) i precudnym posągami *Fidyaszowej Atheny* przystroilo, pomysiano o tem, aby wnijsie na górę najświętszych przybytków uczynić odpowiedniemi powadze uroczystych obrzędów, aby przygotować wstępujących w okolenie grodu do wielkości chwili obchodów... tym przysionkiem przygotowującym były *Propylee*.

Za pierwszymi starymi murami obronnymi grodu od małego splaszczania wzgórze rozpoczynało się wzniesienie udogodnione kilkudziesięciu stopniami dla pieszych i środkiem prowadzącą drogą pod wozy obrzędowe; poziom góry oznaczał na sześciu doryckich słupach wsparty fronton, dający wstęp do ogromnego podcienia napełnionego kolumnami, a otwierającego wejście na dziedziniec grodowy drugim doryckim też frontonem. Przepływające tą drogą tłumy, niemogły jednak tych kilkudziesięciu kroków przebyć obojętnie, należało umysłowi ich dać karm odpowiednią, w znaczeniu przysionka sanktuarium.

Pierwsze skrajne przeszła podcienia otwierały wnijsie do dwóch małych przybytków z lewa i z prawa przytykających do *Propyleów*. Przybytki te napełnione były pamiątkami a ściany ich ożywione były malowidłami bohaterskich czynów i spraw z których opieka, rada lub współdział bogini *Atheny* przemawiały do widzów. Kto w tych bocznych przybytkach nie chciał lub nie mógł zatrzymać się; znalazł na ogromnych ścianach *Propyleowego* podcienia homeryczne malowidła tejsze samęj ręki i pomysłu, dzielnego *Polygnota*.

Podobnego rodzaju przysionki znane były, a w potężniejszych rozmiarach wykonywane przez *Egipcyan*, do dzisiejszego nawet dochowały się stulecia; czemuż jednak z ateńskim w porównanie iść nie mogą, bo tam przewaga ogromu formy, grozy i tajemniczości plastycznego języka, ta przewaga duchowego i uczuciowego pierwiastku składały się na wytworzenie dzieła. Cechą jest najdoskonalszych plastycznych utworów ducha i ręki człowieka, iż w nich tyle tylko materii, tyle tylko formy ile koniecznie potrzeba aby myśl wyrazić,—od *Fidyasza* do *Rafaela* doskonałość ta równowagą się znamionowała.

Co *Mnesikles* budowniczy na żądanie *Peri-*

(*) Patrz „Wieńca” Nr. 18.

(**) Patrz „Wieńca” Nr. 34.

kleśa r. 436 przed nar. *Chrystusa Pana* rozpoczął a pięć lat ukończył, to w obojętnej rycinie już tylko jako ruinę oglądamy. Gdzie wrzało życie i było gorące tętno najdzielniejszego niegdys i najrozumniejszego narodu, tam się odbywa zrzadka głuche stąpanie i rozgwar ciekawych podróźnych, lub głuchszy jeszcze stuk staczających się drobnych odłamów *pentelickiego* marmuru.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

OKLASKI, KLAKA, KLAKIERY,
KRYTYKA SZTUK TEATRALNYCH I ARTYSTÓW.

Dalszy ciąg. (Ob. Nr. 99).

Niejaki *Sauton* w r. 1820 ujawniwszy *klakierów* w pewny system utworzył formalne biuro, pod nazwą: „Zapewnienie powodzeń dramatycznych.“ Stosownie do zamówień biuro posyła do teatru mniej więcej indywiduów (nie mających za co kupić obiadu a tém mniej biletu na widowisko) dawszy im najdokładniejszą informację kiedy i jak *klaskać*. Jeżeli aktor chce być przyjętym oklaskami przy wejściu na scenę, płaci umówioną sumę, za *soigner l'entré*; jeżeli chce żeby współzawodnika wysykanego, płaci za *empêcher la vogue*; płaci się także panów *chevaliers du lustre* za *faire mousser échauffer la salle*. Najlicniejsza grupa *klakierów*, siedzi zwykle w środku parteru, wpuszczają ich bocznym wejściem.

Oto są podziały *klaki*: *le tapageur* klaszcze najgwałtowniej przy każdej sposobności; *le connaisseur* umieszczany bywa na droższych miejscach, pomrukuje przychylnie, umiając niektóre wiersze na pamięć, zwraca uwagę obok siedzących na piękność poezji lub gry, opowiada prztem zajmujące wypadki z życia aktora lub aktorki;—*le rieur*, z najniezdniejszych dowcipów i żartów śmieje się tak serdecznie, że mimochętnie innych pobudza do śmiechu;—*le pleureur*, najsilniej wzruszony wpływa na płacz sąsiadów;—*le châtouilleur*, od początku sztuki i w przerwach międzyaktowych obdziela w około cukierki, częstuje tabaką, podaje afisz, wesolą rozmową wprowadza w dobry humor;—*le chauffeur*, staje w dzień przed afiszami, i skoro tylko zbierze się kilka osób, woła z uniesieniem: „Ach, dziś grają tę sztukę! muszę być, będzie znowu natłok. Panna R. jest aniołem. Pan B. gra jak *Talma*.“ W kawiarniach czyta głośno przychylnie recenzje, drze skrycie nagany, po księgarniach i czytelniach dowiaduje się, czy ta a ta sztuka już jest drukowaną, czy można ją dostać; czy portret ulubionego artysty już jest do nabycia;—nakoniec *le bisseur*, bezustannie wołający o powtórzenie. Z tych rozmaitych odcieni przekonywamy się do jakich doskonałości doszła *klaka* w *Paryżu*. Lubo publiczność wie o tém, przecież dyrektorowie autorowie i artyści utrzymują, że *klakiery* są potrzebni, jako środek pobudzający.

Najważniejszą postacią pomiędzy *klakierami* są przywódcy. Do najzdolniejszych zaliczono *Santon'a* i *Porehera*, ceniąc ich posady na 50000 fran. rocznego dochodu. W czasie ostatnich prób nowej sztuki, przywódca z pomocnikiem notują sceny i miejsca efektowe; autorowie i aktorowie pomagają mu zwykle w tej pracy. Do przywódcy należy wybór ludzi, których zastępy składają i kobiety, powszechnie żony *klakierów*, które zwłaszcza na przedstawieniach dram-

rozieszczają w sali na drugich i trzecich galeriach. W scenach tkliwych płaczki wydobywają chustki, łkając głośno gryzą je konwulsyjnie, ocierają oczy, nawet mdleją jeżeli tego potrzeba; a następnego dnia czytamy w gazetach: „Nowa drama, powodzenie lez!“ Jednakże ta specjalność wymaga pewnego taktu i pewnych zdolności mimicznych.

Długo mniemano, że w Niemczech nieznaną jest klaka, tymczasem czytaliśmy w jednej z gazet berlińskich: „Niedawno umarł W. B. znany przywódca berlińskich klakierów zostawiwszy niepokieszony w dowie 80,000 talarów majątku Trzydzieści lat „pracował” przy teatrach, pobierając stałą płacę od wysoko uposażonych artystów, za oklaski, przywoływania, rzucanie im kwiatów, wieńców i t. p. Kilku tuzinom młodych amatorów, którzy pracować mieli podezas widowiska, zwykle dawał instrukcje: Dziś X. grać będzie Margrabiego Posa. Zakończenie I aktu przyjmiecie lekkimi oklaskami. W trzecim, po wyrazach: „Niemogę być sługą!“ wybuch uniesienia, a przy odejściu p. X po słowach: „Ten dzień jest najpiękniejszym w moim życiu!“ przywołacie go trzy, a jeżeli się uda cztery razy. Dzienniki piszą: Pannę Y. przy wejściu na scenę powitały grzmiące oklaski, a po odśpiewaniu pierwszej arii zarzucono bukietami. Pocziwa publiczność ani się domyśla, że te kwiaty i bukiety, kupiła sama panna Y przesławszy z zapewnieniem takiego a takiego wynagrodzenia przywódcy klakierów, do rozdania pomiędzy współpracowników. W chwili owacyi panna Y. udaje zadziwioną, wzruszoną, kładzie rękę na sercu, ociera łzę nieobecną, dziękuje niskimi ukłonami, zbierając kwiaty i wieńce własnego wyboru. W następnym przedstawieniu, przy wieńcu różowa wstążka zastępuje białą, w bukietcie rzuconym przez kogoś pewnego znajduje się kosztowny podarunek, dawna własność artystki, który wyjąwszy, uradowana kłania się z wdzięcznością do łóż zajętych przez hrabiego A. baronowę B. i księżnę C.

Biada artyście, który przywódcy klakierów nie dotrzyma zobowiązania. Pannie Westvali za takie zapomnienie, na godzinę przed wystąpieniem, doręczono w garderobie bilecik tej treści: „Jeżeli pani natychmiast nie uiszcisz się z długu, będziez wygwizdaną.“ Zapłaciła.

Artyści przyjeżdżający na gościnne role, odpłacają się zazwyczaj 20 lub 30-ma biletami na rozmaite miejsca. Dowódca klaki rozdaje połowę między swoich ludzi, drugą sprzedaje po wysokich cenach na własną korzyść.

Widziemy z tego że klaka berlińska nie ustępuje paryzkiej.

W Wiedniu w miesiącu czerwcu r. b. był w dzienniku artykuł: Przyczynki do teatralnej klaki z podpisem H... S... „Oddawna narzekamy na teatralną klakę ale nadaremnie; co wieczór musimy się spotykać z tą nieznośną zgrają, co-

raz nowemi wzmocnioną siłami. Dnia 27 zeszedłgo miesiąca przy pierwszym przedstawieniu operetki: Przebudzenie się lwa, po każdym numerze tak szalone wybuchy oklaski, że publiczność nie chcąc należeć do klakierów, musiała zachować się biernie lub przecząco. Dla tego właśnie opera nie miała takiego powodzenia, na jakie istotnie zasłużyła. Czyliż teatr stolicy potrzebuje aż takich środków żeby zwracać uwagę publiczności na ustępy godne pochwały, i czy mo-

le rozumiejąca muzykę, dobrem entuzjazmuje się często do przesady, ale najłżejszego błędu nie przebacza. Nie pozwala na żadne skrócenia, odmiany, poprawki i upomina się głośno o pracę autora. Na jej zdaniu tylko można polegać bezpiecznie. Dzienniki bowiem, z bardzo małym wyjątkiem, zastępują klakę pisząc płatne pochwały. Ktokolwiekby chciałby z tego co czyta sądzić śpiewaka lub śpiewaczkę, zawiódłby się niewątpliwie na ich wartości. Rozrzucane sonety, gołębie puszczone w sali, kwiaty, wieńce i t. p. owacye urządzają się bez trudu za pieniądze. Parter będzie żartował z tego, często głośno i niegrzecznie nawet, ale gazety doniosą: że tego lub tę uczczono sonetem, bukietami. W teatrach komedij, dram, trajedyj nie spotykamy zdrowego sądu parteru — zastępuje go po większej części ślepa wiara w okrzyczany talent. Chwalą, bo słyszeli że chwalono gdzieindziej; krzyczą i wieńczą, bo krzyczano i wieńczono gdzieindziej.

U nas ani jednej ani drugiej zdrożności nie spotykamy w oznaczonej formie. Przed kilkunastu laty za istnienia parteru, usilnem staraniem sług pochlebców, zaczęły się pojawiać początki klaki. Rozdawaniem bezpłatnych biletów, próbowano jej dla niektórych osób, aby się przypodobać ich protektorowi; ale okryta śmiesznością, zasykana musiała umilknąć. Publiczność utrzymała się przy swoich prawach. Wprawdzie dziś jeszcze paradyz bywa najgłośniejszym w oklaskach, ale tam właśnie jest ulubione, bo ceną najprzystępniejsze miejsce dla młodzieży płacącej, kochającej scenę i artystów, która tą głośnością dowodzi zamiłowania w sztuce. Jeżeli krzesła grzeszące czasami arystokratyczną obojętnością, powstają przeciw paradyzowi, to jedynie dla powstrzymania zbytęznego entuzjazmu, ale bynajmniej nie z przekonania, że to klaka bezpłatnych biletów.

(d. c. n.)

SZKIC L. KUNICKIEGO.



Pan Dezyderyusz pessimista gospodarski, semper golianus, który wszystko w najczarniejszych widzi kolorach.

że być przyjemnym dyrekcji, autorom i artystom, tak tanie zbieranie oklasków!“

Ta choroba stołecznych teatrów, nie dotknęła jeszcze wszystkich scen pierwszorzędnych niemieckich. Publiczność czująca godność swoje i stanowisko słucha i sądzi rozumnie. Umie wyróżniać zasługę autora i aktora. Dla miejsca dobrze odegranego niewczesnym oklaskiem nie przerwie myśli, lecz nie zapomina o artyście przy zejściu jego ze sceny.

We Włoszech oklaski w teatrach opery, są czem bydyć powinny wszędzie, wyrazem opinii i sądem. Jednego wieczoru tenże sam artysta, w jednym numerze śpiewu bywa nagradzany najwyższym zadowoleniem i karany surowo sykaniem, żartami, milezieniem. Publiczność w ogó-

OD WYDAWCÓW.

W Nr. 274 Gazety Polskiej pan F. H. wystąpił przeciwko wydawcy **Kłosów** i wydawcom **Wienca**, utrzymując, jakoby Ci zmuszali PP. Prenumeratorów Encyklopedyi, chcących otrzymywać nadal też Encyklopedyę po cenie niższej, do prenumerowania **Kłosów** lub też **Wienca** i **Tygodnika Romansów i Powieści**. Otóż oświadczamy, że PP. Prenumeratorowie dotychczasowi bez względu czy zechcą lub nie nadal prenumerować **Wieniec**, mogą nabywać Encyklopedyę po niższej cenie, jakto ogłosiliśmy w Nr. 96 **Wienca**: że cena Encyklopedyi dla prenumeratorów **Kłosów** i **Tygodnika Romansów i Powieści**, ustanawia się ta sama, jak dla Prenumeratorów „Wienca,” to jest po rs. 8 za 8 tomów.

Treść: Ramułtowie, powieść współczesna J. I. Kraszewskiego (c. d.) — Literatura Zagraniczna K. Kaszewskiego (dokończenie). — Z Katedry. — Propylee. — Ze świata naukowego i społecznego. Oklaski, Klaka, Klakiery, Krytyka sztuk teatralnych i artystów. — Od wydawców. — Ryciny: Konie włościańskie. — Ruiny Propyleów w Atenach. — Szkic L. Kunickiego.

Wydawca, HIPOLIT ORGELBRAND. Дозволено Цензурою, Варшава 20 Ноября (12 Декабря) 1872 г. Redaktor, MIECZYSLAW ORGELBRAND M. Pr. i Ad.